

PIOTR KULPA

CIEPĘKO

oddech
zimy



PIOTR KULPA

CIEPELKO

oddech
ZIMY

Wydawnictwo Tandem
www.wydawnictwo-tandem.pl

Text © copyright by Piotr Kulpa, 2023, 2025
Copyright for this edition © 2025 by Wydawnictwo Tandem

Projekt okładki i ilustracje na okładce: Aneta Krella-Moch

Redaktor prowadzący: Antonina Liedtke

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Dominika Kamyszek

Wydanie I

ISBN: 978-83-8412-037-8

EAN: 9788384120378

ISBN ebook: 978-83-8412-038-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie w całości lub w częściach
wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy.



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

Księżyc, okrągły niczym piłka, wspiął się wysoko na rozgwieżdżone, październikowe niebo. Noc była zimna, a powietrze kryształowo czyste. Rano powinna pojawić się siwizna na czuprynach traw. W taką noc jak dziś pod szpital lubiły podchodzić blisko dziki. Kusiły je wyrzucane niekiedy za płot resztki jedzenia, których nie trzeba było wygrzebywać spod stwardniałej ziemi. A i dębowa aleja prowadząca wzdłuż ogrodzenia obficie sypała żołędziami. Kto wtedy dyżurował, miał okazję poobserwować te dostojne zwierzęta i posłuchać ich nawoływań oraz oznak zadowolenia.

– Łi, li. Chrum, chrum – rozlegało się zza płotu tak donośnie, że nawet przy zamkniętych oknach dało się policzyć, ile ich jest.

Kiedyś, gdy zamiast solidnego, kutego ogrodzenia szpital otaczała siatka na przemian z drewnianym płotem, dziki potrafiły zrujnować przeszkodę i wleźć na teren placówki. Nieraz narobiły szkód, bo ten niewielki oddział psychiatryczny w ramach terapii pozwalał chorym uprawiać warzywa i owoce. Co ciekawe, zwierzęta tak urzekły jednego z pacjentów, chorego na likantropię, że zaczął zachowywać się jak dzik. Kwiczał, łaził na czworaka, rył nosem w trawie i gryzł żołędzie. Nie był groźny, więc inni chorzy i personel przyzwyczaili się do tego i czasem nawet ktoś rzucił mu skórkę od chleba albo ziemniaka. Gdy kwiczał, nikt nie był w stanie odróżnić, czy to znowu dziki podeszły do płotu, czy Teodor Kolsky pozwala się ponieść fali choroby. Niski, dość teraz okrągły, co było skutkiem ubocznym zażywanych leków, gdy kucnął i wsparł się na rękach, mógł w ciemności przypominać młodego odyńca.

Tej nocy dziki podeszły wyjątkowo blisko furki. Nieprzypadkowo. Pacjent wywożący z kuchni odpady po posiłkach rozrzucił je wzdłuż całego płotu dość obficie. Zrobił to w zamian za pluszowego pieska, którego otrzymał od Kolsky'ego. O dwudziestej ten sam pacjent, w zamian za

długopis z pływającymi w jego obudowie maleńkimi złotymi rybkami, dostał niespodziewanie ataku szału. Sanitariusz, pielęgniarka i lekarz mieli przy nim sporo pracy i zmuszeni zostali do opuszczenia na jakiś czas dyżurki. Tych kilkanaście minut wystarczyło, by okryty ciemnym kocem Kolsky sięgnął przez okienko do środka, wystukał na klawiaturze szyfr otwierający drzwi i wyszedł w ciemność. Pozostało jeszcze tylko minąć budkę z ochroniarzem. Dziś służbę pełnił Roman, starszy mężczyzna, który nawet w dzień przez grube okulary nie odróżniał kobiety od mężczyzny. Teraz, gdy usłyszał przed drzwiami stróżówki kwiczenie, stanął w progu i zapalił latarkę.

– A gdzież tu tu wlaż? Pewno znowu jaką dziurę pod płotem wyryły.

Pan Roman obserwował poruszający się kształt. To była niezła sztuka.

– Łi, łi – zakwicział dzik.

Sądząc po odgłosie – młody odyniec. Nie był ogromny, ale pewnie głodny, więc niebezpieczny.

Pan Roman podszedł do furtki, namacał odpowiedni otwór, włożył weń stary klucz i przekręcił. Machnął latarką.

– No, już, uciekaj! Sio! Wynocha! – I uderzył wielką, gumowaną latarką w metalową furtkę, aż zadzwoniło.

Dziki nie lubił tego dźwięku. Ten też się wzdrygnął, zakwicział i przebiegł na sztywnych nóżkach przez otwartą furtkę. Tam czekała już na niego reszta watahy. Roman szybko zatrzasnął bramkę. Uff, odetchnął z ulgą.

– Co tam się dzieje, Roman? – usłyszał za plecami głos sanitariusza. – Znowu dziki?

– Tak. Ale jak blisko podeszły. Jednego musiałem wygonić przez furtkę, musiał się gdzieś przekopać. Rano trza będzie sprawdzić gdzie. To co, Janek, partyjkę? – Lubili na nocnej zmianie zagrać sobie w szachy.

– Jasne, tylko jeszcze zrobimy obchód i za pół godziny wracam.

Sanitariusz wpatrywał się w odchodzącą watahę. Jeden z dzików zachowywał się jakoś dziwnie – jakby usiłował stanąć na dwóch nogach. A może to tylko cienie tańczyły wśród drzew. Janek odwrócił się i ruszył w stronę budynku. Gdyby uczynił to odrobinę później, dostrzegłby zapewne, że ów dzik rzeczywiście zrywa się na dwie nogi, zrzuca z siebie skórę i biegiem puszcza się w mrok lasu. Na chwilę jeszcze staje, by spojrzeć głęboko w oczy największemu, goniącemu go odyńcowi, który wtedy z cichym kwikiem odwraca się i zmyka do stada.

Jankowi i Romanowi nie dane było jednak tej nocy rozegrać partii szachów. Podczas obchodu okazało się, że jeden z pacjentów zbiegł. Powiadomiona została policja i pani ordynator. Ustalili, że rano rozpoczną poszukiwania. Ale wtedy Kolsky zamierzał być już wystarczająco daleko.

Część pierwsza

Chmury się zbierają

Rozdział pierwszy

Czarno na białym

Śnieg, śnieg i śnieg. Kto to widział? Jak tak dalej pójdzie, to zasypie budy pod dach, a Czechu z Henrykiem nie nadążą odkopywać podwórza. Nie mówiąc o spacerniaku, po którym może pohasać tylko Cygan na swoich długich łapach. Swoją drogą – cudnie wygląda, gdy tak skacze w zasy – jak strzelisty czarny płomień, z którego w niebo tryskają białe, mieniające się skry. Czarny seter to podobno dosyć rzadka i szlachetna rasa. No, szlachciura z niego niemożliwy. Wierszem gada, do księżycy serenady wyśpiewuje – nic dziwnego, że pudlicy nieboszczce w głowie zawrócił. Ech, stare, dobre czasy... Ale co tam. Ja też nudzie się nie daję. Gdy pocziwy bulmastif Człapa, któremu przez ostatni rok parę kilo się przytyło, przetrze brzuchem szlak do spacerniaka, ruszam w te pędy nurkować w zaspach. Szur – i już jestem w wielkim białym kopcu. Gdzie wyprysnę, tego sam nie wiem. Kiedyś wystrzeliłem prosto w oponę starej huštawki, aż w środku dnia zobaczyłem wszystkie gwiazdy. Innym razem wbiłem się krukowi Gadule pod skrzydło i wyglądał jak rycerz z kopią pod pachą. A Cygan biega i usiłuje mnie capnąć za ogon. Ot, i cała zabawa. Właściwie to tylko ja, Cygan i moja ukochana Fantazja lubimy harce na śniegu. Kocury – Klara i Pirat – owszem, wyjdą z budy, ale zimno im i do łap czepia się „to białe”. Chodzą więc i przez cały czas tylko otrzepują łapy i ogony. No, Pirat to może kawałek ogona.

Szczury – głuchawy Maniek Młynarz i niewidomy Śpioch – w ogóle nie wychodzą; siedzą cały czas w blaszanym wiadrze, które nazywają

„kasynem”, i grają, o co tylko się da. Nawet o to, kto kogo dzisiaj niesie na sikanie. Całkiem im odbiło. Zwłaszcza że z powodu głuchoty i ślepoty oszukują się wzajemnie, ile wlezie. Kłóca się przy tym, biją łapkami w blachę wiadra, a potem chichoczą długo w noc, wspominając najlepsze wyzwiska. Dziwi mnie tylko, że Maniek jeszcze żyje i do tego ma się całkiem nieźle. Stuknęło mu niedawno podobno dziewięć lat. To prawie niemożliwe. Ale co tam. Jemu się należy. Jeśli chociaż połowa z tego, co bają o swoich dawniejszych wożaczach, jest prawdą, to i tak nie zdąży wszystkiego opowiedzieć. A że głuchy, to nikt mu przerwać rady nie daje, więc plecie co noc, aż wszyscy pousypiają. Nie zasypia jedynie mój syn Flecik.

– A jak to, panie Mańku, się stało, że pan nie słyszy? Niech pan jeszcze opowie, jak w starym młynie uratował pan tego kocura, co chciał pana wygnać. Panie Mańku! – piszczy mały.

Mańka nie trzeba dwa razy prosić, choć wie, że słyszeliśmy te historie już mnóstwo razy. Na szczęście opowiada coraz to inną wersję. Albo skleroza, albo taki gawędziarz.

Ach, ten mój Flecik. Michalina, żona Czecha, tak go nazwała, gdy pomagała mojej Fantazji przy wydaniu dzieciaków na świat. Dzieciaków, bo urodziła nam ich ośmioro, ale oprócz Flecika wszystkie poszły już do ludzi, jak to się mówi, a jedna córeczka nie otworzyła nawet ślepek i nawet jednego oddechu nie złapała, tylko zaraz zabrał ją Henryk i zakopał pod morwą. No, więc gdy Michalina zobaczyła mojego synka, krzyknęła:

– Boże, jaki on chudy i długi! Jak flecik!

Na co Flecik przeciągle zapiszczał. Dobrze, że Michalinie skojarzył się z flecikiem, a nie z fujarką. Co to za trzpiot! I po kim on taki? Po mnie nie, bo ja, zanim do kogoś zagadam, to ze trzy razy przeproszę, że żyję. Fantazja znowu to frecia dama – nawet żarty muszą mieć dla niej

odpowiedni smak. A syn nam się trafił jak ogień – szybki i parzy dookoła. Wszędzie go pełno. A zwróć mu tylko uwagę, to mądruje się i pyskuje, aż głupio mi się robi. Ech, ta dzisiejsza młodzież.

Zresztą Ciepłko to już też nie to przytulisko co kiedyś. Rozrosło się, wyładniało. Czechu niedawno nową budę dostawił – nowoczesną. Teraz stoją dwie, a nad każdą wisi inny szyld. Nad starą, naszą budą jest taki:

BUDA A

A nad nowym budynkiem taki:

B BUDA

I podziały się zaczęły. A to „Koty górą!” słyhać wieczorami z okna B Budy, a to ktoś wydrapie patykiem na piachu „Psy do budy!”, to znowu ci z nowej zadzierają z tymi z A.

Od czasu afery z Lepszym Jutrem mieszkańców przybyło i trudno wszystkie imiona spamiętać, nie mówiąc o tym, żeby z każdym żyć w zgodzie. Dobrze, że jest bulmastif Człapa ze swoim tubalnym głosem. Schorowany, w słusznym wieku, ale zdarza się, że przypomni nowym, kto tu rządzi. Wiadomo – żółw Cegła. To mózg naszej społeczności. Tyle że teraz „zima, więc kima”, jak zrymował pewnego wieczora. Potem zagrzebał się w piachu i w liściach i tyle go widzieli.

Pomagają mu też Gilo i Tyna, bulteriery o złej sławie, choć łagodne jak baranki. Po ich pobycie w Lepszym Jutrze poszła w świat legenda, że to prawdziwe zabijaki, i może niech tak zostanie. Ale co to za zabijaki, co się dają kotom po brzuchach drapać i o pyski ocierać.

Mamy też nowy płot i bramę, która sama się otwiera i zamyka, gdy tylko ktoś wciśnie odpowiedni guzik. Kiedyś Henryk przywiązał do niej na chwilę kozę Melę i zapomniał o biedaczce. Chodziła potem przez pół dnia w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Zapierała się, jak to Mela, z całych sił, ale gdzie tam. Dopiero po południu Michalina ją uwolniła.

Dostało się wtedy Henrykowi, oj, dostało. Najbardziej za trawę, którą Melka wyskubała z trawnika. Jedno koło w jednym końcu, a drugie w drugim końcu bramy.

Najlepsze jednak jest to, że mamy nowe ogrzewanie i w naszej starej budzie jest wreszcie ciepło. Nawet teraz, gdy nastąpiła zima, jakiej podobno najstarsze zwierzaki nie pamiętają. Biały kruk Gaduła Mruk co prawda mówi, że najsroźsza zima panuje w ludzkich sercach, ale o co mu chodzi, nie wiadomo. Że niby co, pozamarzali? Ech, kruk zawsze filozofuje, a ja tam prosty tchórz jestem – co widzę, w to wierzę.

Cegła – ten to by mógł powiedzieć coś o dawnych zimach, bo ma chyba z pięćdziesiąt lat, ale – jak już wspominałem – „zima, więc kima”, i tak co roku. To co ma pamiętać, skoro przez kilka miesięcy śni o nagrzanym piachu. Tym razem, zanim zasnął, zrobił spis lokatorów Ciepłka.

– Żeby mi się wszyscy na wiosnę odliczyli. Zima będzie sroga i długa, bo mi się bardzo pyszczek drze. Każdy odpowiada za sąsiada. A jak pojawią się nowi, Gaduła się o nich zatroszczy. W starej budzie rządzi kruk, w nowej Pirat – zakomunikował kiedyś na spacerunku.

Potem kazał wszystkim usiąść wokół starej morwy. No i okazało się, że jest nas całkiem pokaźna gromada: trzy tchórzofretki, siedem psów, pięć kotów, dwa szczury, koza, kogut, kruk i żółw.

– Nie martw się, Cegła, to będą twarde rządy! – miauknął Pirat i strzelił z opaski na oku, mrugając drugim do Klary.

Kotka zachichotała. Szczur Maniek przyłożył do ucha łapkę zwiniętą w trąbkę i spytał:

– Co ty tam pleciesz, synku? Twarde narządy? Na starte siekacze mojego wuja Anatola, przecież ty jesteś wykastrowany. Śpiewają o tym nawet kocury z marketu.

Pirat cichutko ruszył w stronę Mańka, uniósł łapę, z której wysunęły się żałośnie obcięte przez Michalinę pazurki, i już, już miał go pacnąć, ale szczur zrobił unik i uskoczył za Człapę. Pirat z rozpędu trafił w Śpiocha.

– Podobno jesteś przygłuchy! – miauknął upokorzony kot.

– A ty trochę przygłupi, żeby nami rządzić – zagdakał kogucik Lilek, któremu Czechu obiecał przeniesienie do nowej budy. To jemu, według niego, należała się funkcja zarządcy na czas zimy. – Piałem, pieję i piał będę! O tak! O tak!

Cegła skubnął w nogę Człapę, na co ten podniósł się ociężale i szczeknął tubalnym głosem:

– Dość! Dość!

– Dzięki, stary – pisnął Cegła. – Nieważne, kto rządzi, ważne jak. Pirat sprawdził się, ratując Ciepełko. Może nie jest kompletny, ale kontakty ma szerokie, a serce dobre. Tobie, Lilek, przypominam, że właściwie miałeś skończyć w rosole, więc okaż trochę pokory wobec koła fortuny. Toczy się ono, oj, toczy. Zima idzie sroga, lisy podejda blisko, bliżutko... Będziesz potrzebował ochrony, bo pewnie najpierw zechcą odwiedzić ciebie. Do kogo się zwrócisz, do Mańka?

Lilek nerwowo wcisnął dziób pod skrzydło, po czym energicznie zatrzepotał i wyprężył szyję.

– No co wy, chłopaki, na kukużartach się nie znacie?

Drapnął parę razy pazurami w ziemi i po chwili wyciągnął dżdżownicę. Podskoczył z nią do starego kocura, chyba w ramach przeprosin, ale ten odwrócił głowę i mruknął:

– W porządku, Lilek. Smacznego.

Kogucik wprawnym ruchem wrzucił sobie robaka do dzioba, przełknął i zagdakał:

– Jak chcesz, ale wiesz, jakby te lisy chciały...

Na te słowa Cygan stanął obok ptaka, otrzepał lśniąca sierść i wyprężył pierś.

– Drogi Lilku, bądź spokojny o swoje bezpieczeństwo. Dopóki tchu w piersi starczy, bronić będę mieszkańców tego uroczego zakątka przed każdym złem. Przez wzgląd na pamięć o mej kochanej Funi. – Seter zwiesił na chwilę głowę, po czym dodał natchnionym tonem: – Aby nam bud nie kalał lis, będę go tropił, ścigał, gryzł! Zapamiętaj to, mój Fafiku. Może zechcesz kiedyś opowiedzieć wnukom.

Od jesieni oprócz bulmastifa Człapy, setera Cygana, bulterierów Gila i Tyny oraz staruszka ratlerka Cacka są z nami jeszcze zostawieni na przechowanie Fafik i Kapsel. Fafik to najczystszej krwi kundelek, nieduży i wyjątkowo skromny, zauroczony Cyganem. Zapamiętuje jego powiedzonka i poetyckie próby niczym jakiś sekretarz. Z kolei Kapsel, sznaucepek, który trafił do nas po śmierci opiekuna, wniósł w życie nowej budy tyle wigoru, co cała wataha psów. Jest absolutnie nadpobudliwy. Gdy do budy wchodzi któryś z opiekunów, skacze wysoko, aż wali czołem w pręty. Kiedyś podskoczył i wytrącił Henrykowi kubek z kawą. Potem utaplał się w fusach i poodbijał mu ślady łap nawet na krawacie. Może tak godzinami. Michalina mówi, że ma psie ADHD czy coś. Gdy grupy szkolne wchodzi do budy, nie można go wypuścić. Chyba jakieś dziecko wyrzuciło mu kiedyś krzywdę, bo jeży się teraz, warczy i podgryza je w pupę. Coś mi się zdaje, że już po niego nie wrócą. Może on też to wyczuwa i dlatego jest taki rozdrażniony?

Tak więc teraz, gdy Cegła śpi, a śnieg powoli zasypuje całe Ciepełko, zastanawiam się, jak długo jeszcze potrwa zima. I przypominam sobie słowa Czecha:

– Będziemy mieć Białą Szkołę, wiesz, Fryndzel? Co ty na to?

Wtedy nie rozumiałem jeszcze, o co mu chodzi, więc zapiszczałem tylko cichutko, jak dawniej, gdy drapał mnie za uchem. Potem spadł pierwszy śnieg i do tej pory sypie. Mamy prawdziwą białą szkołę...



Michalina przysiadła na brzegu łóżka i się zamyśliła. W ręce bezwiednie przesuwała róg poszwy, w którą zamierzała powlec szóstą, ostatnią kołdrę. Kupili je z Czesławem tydzień temu, specjalnie z myślą o dzieciach, które za kilka dni miały zjechać do Ciepłka na Białą Szkołę. Obawiała się trochę. Czy dzieci polubią to miejsce? A co na to zwierzaki? Niektóre są takie schorowane, a Flecik dziki, jakby mu tu było bardzo źle. Czesław powiedział, że muszą się podjąć tego wyzwania, jeśli chcą myśleć o dotacjach na przyszły rok. I że nie ma się o co martwić, bo przecież przyjeżdża z nimi opiekunka, pani Luiza. A dla dzieci z ośrodka opiekuńczego to też wielka szansa. Jak powiedziała pani Luiza, to sprawdzian ich umiejętności życia poza murami ośrodka. Jak się spiszą, droga do rodzin zastępczych albo do adopcji stanie przed nimi otworem. Ech, jakoś tak wygodnie żyje się bez dzieci... A może za wygodnie? I dla kogo?

Pod palcami wyczuła zgrubienie. To inicjały M.S. – Michalina Strąk, jak nazywała się przed ślubem. Jej ulubiona atlasowa pościel. Ciekawe, komu przypadnie. Wiekowa, ale niezwykle przyjemna i delikatna. Michalina chwyciła róg kołdry i naciągnęła nań materiał. Już lubiła tę dziewczynkę... Ale dlaczego dziewczynkę? Kto wie, może to będzie chłopiec. Ma ich być pięcioro – trzy dziewczynki i dwóch chłopców. Może i Ciepłko ma jeszcze przed sobą niejedną ciekawą historię...

Strzepnęła energicznie kołdrę, aż poszwa znalazła się na swoim miejscu. Zapięła guziki i pościeliła łóżko. Przykryła je kocem i spojrzawszy

ostatni raz na przygotowany pokój, z cichym westchnieniem zgasła światło. I wtedy jej wzrok przykuło okno, za którym w strugach białego światła latarni oświetlającej podwórze wirowały niczym tysiące niepowtarzalnych cudów małe i większe płatki śniegu.

– Jesteś najwspanialszym artystą, Boże – szepnęła. – Jakże musisz nas kochać, skoro dałeś nam umiejętność zachwycania się takimi drobinkami. Dziękuję... – dodała i zamknęła drzwi.

Kiedy weszła do kuchni i spojrzała na siedzących przy stole Czesława i Henryka, wystraszyła się. Coś się stało!

– Co się stało?! Miny macie nietęgą, jakbyście kolacji nie dostali. Co, znowu któryś uciekł? Który? Czesiu? Flecik? Fafik?

Czesław wstał, otworzył i zamknął drzwi do lodówki, znowu usiadł. Podrapał się w głowę.

– Żaden, Michciu, żaden. – Nabrał głęboko powietrza, jakby chciał coś z siebie wyrzucić, ale stęknął tylko: – Ech, co my teraz zrobimy?

– Czesław, nie dręcz mnie! Co się dzieje?

– Niech Heniu ci powie, to twój brat i jego sprawa.

– Moja i twoja, Czesław. Nie zrzucaj wszystkiego na mnie! To nie moja wina. Jak się nie zgadzasz, poradzimy sobie inaczej. Obejdzie się – burknął Henryk i z brzękiem wrzucił łyżeczkę do szklanki po kawie. Skrzyżował ręce na piersiach i wyglądał teraz jak naburmuszone dziecko. – Moje wnuki muszą przyjechać do mnie na ferie – oznajmił.

Czesław podniósł się i stuknął laską o podłogę.

– Muszą? Nawet nie spróbowałeś im wyjaśnić, że nie możemy ich przyjąć. Szczególnie w czasie ferii. Gdzie będą spać? Z Człapą? – zapytał zdenerwowanym tonem, chodząc po kuchni w tę i z powrotem. – Czy twoja córka nie mogła cię chociaż zapytać o zdanie? Tak się nie robi.

Michalina klasnęła w dłonie. Nie podobał jej się ten ton.

– Czesiu, uspokój się. Bo powiecie za chwilę coś, czego będziecie żałować. Co się stało? – Ostatnie słowa wyraźnie podkreśliła, dając do zrozumienia, że czeka na wyjaśnienia.

Henryk popatrzył na nią smutnym wzrokiem, westchnął i zaczął mówić:

– Kasia rozwodzi się z Maćkiem. I podsyłają mi dzieci na ferie, żeby załatwić najgorsze sprawy. Poinformowano mnie o tym esemesem, i zrobił to Emil, ich syn. Czesław ma rację, to bardzo nie w porządku, ale nie mogę im teraz odmówić. Dzieci mogą spać w moim pokoju. Kupię sobie jakiś materac.

– Pewnie. Stary chłop będzie spał na materacu. Może jeszcze ci namiot rozbić, co? Albo ognisko rozpalić? Robią z tobą, co chcą. A przez kilka lat mało co się odzywali. – Czesław stuknął laską, jakby nagle zrobiła się kilka razy cięższa.

Wtem Michalina stanęła między nimi.

– Dość! Miało być nas dziesięcioro, dwie gęby jeszcze się wyżywią. Dzieci mogą spać z Henrykiem, a jemu faktycznie małe niewygody nie zaszkodzą. Na strychu jest stary, dobry siennik. – Zwróciła się do brata: – Przyniesiesz sobie. Trzeba tylko sprawdzić, czy myszy się do niego nie dobrały.

Czesław mruknął coś gniewnie pod nosem i ruszył w stronę drzwi. W progu odwrócił się jeszcze, pogroził szwagrowi palcem i rzucił:

– Tylko żeby potem nie było, że się rozwiedli, bo ty im to ułatwiłeś.

I wyszedł. Henryk podrapał się po głowie z zakłopotaniem. Mało się do niego odzywali, bo i on się rzadko odzywał. Nie uważał się za dobrego ojca. Ani dziadka. Jego małżeństwo też się rozpadło, co miał za wielką porażkę. Ale to było tak dawno. Nadużywał wtedy alkoholu i rozpad rodziny był tego naturalną konsekwencją. Teraz nadarzała się sposobność,

by choć trochę odkupić swoje winy względem dzieci i wnucząt. Chciał być dla nich wsparciem. Cokolwiek miałyby się zdarzyć.

– Muszę im pomóc, Michalinko.

Siostra pogłaskała go po łysinie. Czuła jego obawy i smutek. I rozumiała go.

– Tak, Henryku. Kiedy przyjeżdżają?

– We wtorek, w drugim dniu ferii.

– To dobrze, mamy trochę czasu, by się przygotować. – W Michalinie budził się duch organizatorski. – Pojedziesz jutro i dokupisz jeszcze dwie takie kołdry jak te dla Białej Szkoły. I dwa komplety pościeli. Tylko weź fakturę. A ja zadzwonię i zamówię trochę więcej jedzenia. – Klepnęła Henryka w łysinę i wesoło dodała: – Nie pękaj, stary!

Brat spojrzał na nią zdziwiony.

– No co? Trzeba się uczyć rozmawiać ze współczesną młodzieżą. Kumasze?

Odwróciła się ze śmiechem i zaczęła zmywać naczynia. Henryk pokręcił z niedowierzaniem głową. Spojrzał w okno i zapatrzył się w roztańczoną śniegiem noc. Do szyby, niczym niechciani goście, kleiły się wirujące płatki. Było ich coraz więcej. I zaczęło wiać.

Rozdział drugi

Nowy lokator

W starym wiadrze wrze. Szczury pokłóciły się nie na żarty. Wiedziałem, że to się tak skończy.

Ileż można grać w jedno i to samo? Długo nie mogłem pojąć, o co w tej grze chodzi. Mają garść zapalek ze spalonymi łebkami i kilka nowych. Wyjmują po trzy z pudełeczka, a wcześniej zapowiadają, jakie wyciągną. I kładą przed sobą różne smakołyki: ziarnka, suszone kwiatki albo skórkę od chleba. Kto lepiej przewidzi wynik, zabiera wszystko. To się nazywa obstawianie. Kruk Gaduła mówi, że bardzo niezdrowo jest tak grać, można się uzależnić. I jak patrzę na dzisiejszą awanturę, to mi się zdaje, że się chłopaki uzależniły, bo jak jeden nie chce grać, to drugi się obraża. No i o niczym innym już nie gadają.

– Ty, uważaj sobie! Jak jesteś za miękki, żeby zagrać *va banque*, to powiedz, a nie oszukujesz! – Maniek Młynarz piskliwym głosem zaczepia Śpiocha. – Wiem, co mówiłeś! Jedna cała, dwie pały!

Cała to zapałka z kolorowym łebkiem, niespalona, a pała to drewnienko z czarnym, spalonym końcem.

– Nie masz racji, Mańku. Niepotrzebnie się denerwujesz. – Niewidomy szczur Śpioch zawsze zachowuje spokój, co doprowadza Mańka do szału. – Jedna pała, dwie całe. Twoja wada słuchu znowu spłatała ci figła. Wygrałem?

– Jak ja ci zaraz spłatam figła, to nie tylko słuch stracisz, ale i siekacze!

Maniek jest prawdopodobnie głuchy. Prawdopodobnie, bo tego nikt nie wie na pewno. Szczególnie głuchy jest, gdy trzeba coś zrobić w budzie, na przykład posprzątać klatkę, żeby Henrykowi było lżej. Albo podzielić się jakimś lepszym kąskiem z chorym kumplem. Wtedy jest głuchy jak pień.

Ale jak go mój synek o historii ze szczurzego życia we młynie prosi po nocach, i to nawet szeptem – Maniek jakby zdrowiał w oczach. Ale wstyd się przyznać, że kombinuje, więc w czasie gry musi trzymać fason; głuchy i już. Śpioch dość chętnie to wykorzystuje, gdy nie ma świadków. Kiedy nie trafi, mówi, że obstawiał inaczej i tyle. Teraz leżą przed nimi dwie dobre zapałki i jedna spalona. Czyli tak jak mówił. Ale Maniek nie daje za wygraną.

– Takiś cwany? To ci powiem, żeś pusty jak oczodół Pirata. – Kocur Pirat nie ma jednego oka i nosi przepaskę. Choć z tym jego okiem może być tak samo jak z głuchotą Mańka. – Tu leżą dwie pały i jedna cała. Powąchaj, kanalarzu!

I podsuwa Śpiochowi pod nos dwa razy tę samą spaloną zapałkę. A potem całą. Śpioch nie widzi, a świadka nie ma, więc co ma zrobić? Odpowiada:

– No przecież tak mówiłem, Marianie. Dwie pały i jedna cała!

– Znowu nie dosłyszysz. Martwię się o ciebie.

Tego Mańkowi już chyba za wiele. Ale to on nauczył Śpiocha oszukiwać, gdy kilka miesięcy temu wpadli na pomysł tej gry.

– Chłopaki, trzymajta mnie! Bo mu ogon pałką od wiadra przytnę! To podły szczur! A ja go jak syna traktuję! I zapamiętaj, głupolu, nie jestem żaden Marian!

Chłopaki, czyli my, rechoczemy, jak zawsze, do rozpuku. Nawet Gaduła nie wytrzyma i z najwyższej gałęzi wydobywa się jego gardłowy, kruczy

śmiech. Maniek z impetem wyskakuje z wiadra, trzymając w zębach największą skórkę od chleba. Biegnie do kąta klatki i wciska się z nią do swojej doniczki. Tylko ogon wystaje na zewnątrz. Z wiadra wydobywa się zjadliwy głos Śpiocha:

– Marianku, nie zostawiaj mnie tutaj. Kto mi pomoże wyjść? – Czeka chwilę i dodaje: – Jakoś nie widzę chętnych. A czy ty słyszysz, żeby ktoś chciał mi pomóc, co, Marianku? Pewnie nie słyszysz. – Śmieje się cienkim głosem.

I pomyśleć, że to ten sam Śpioch, który prowadził nas kiedyś przez kanały. Był taki skromny i cichy, zawsze na uboczu. Inne szczury nazwały go Śpiochem, bo miał zrośnięte powieki. Wyglądał, jakby spał. A teraz potrafi dopiec Mańkowi do żywego, choć trzeba przyznać, że robi to zawsze delikatnie, z klasą. Moja Fantazja chwali go za spokój i bystrość. I za to, że może z nim niekiedy podyskutować o sensie życia i o różnych innych drobiazgach. Mówi, że Śpioch ma wycucie i w jego żyłach musi płynąć szlachetna krew. Szlachetna, szczurza krew. Rzeczywiście, w kanałach mieszka sama szczurza szlachta. Gówniarze, tak nazywa się ich banda. Mało szlachetna nazwa.

Dziś jest dzień, w którym Henryk z Czechem sprzątają nam klatki. Sobota. Powinni nas za chwilę wypuścić na spacer, o ile nie zasypało całej Budy A. Bo jak w nocy rozmawiałem z Gadułą, to widziałem, że w szyby waliły tumany śniegu. Teraz przez okna wpadają promienie słońca, czyli pewnie przestało padać.

– No, Człapa, szykuj się. Trzeba będzie zaraz zrobić tunel. Grzej łapy! – pieje Lilek, prężąc kolorowe skrzydła.

– Nie bój, nie bój! – szczeka Człapa. – To nie ty sobie łapki na śniegu wychłodziś.

Lilek nie wychodzi z budy, bo pod śniegiem nie znajdzie nic do wydziobania, ale lubi się mądrować. Ogłasza pobudkę, ciszę nocną i w ogóle czuje się bardzo ważny. Trochę wyręcza Gadułę, którego na czas zimy nakazał nam słuchać Cegła, a który publicznie odzywa się tylko w razie konieczności. Cegła też zostaje w budzie – leży zagrzebany w liściach wymieszanych z piachem, pod gorącą żarówką i śni pewnie o greckich plażach. Z naszej budy na śnieg wybiegamy my, to znaczy fretki, Człapa, zwariowany sznaucer Kapsel i kotek, którego Henryk znalazł miesiąc temu w mieście – w piwnicy bloku, w którym kiedyś mieszkał. Znajda był tak chudy, że nie mógł ustać na nogach, a gdy miauczał, to się przewracał z wysiłku. Dlatego kocury z B Budy nazwały go Cienias. Nawet nie miał siły zaprotestować. Na dwór wybiera się też zawsze biały kruk Gaduła Mruk. Musi zrobić kilka kółek, gdy nikt go nie widzi – według oficjalnej wersji nie umie latać. Więc Henryk ani Czechu nam nie przeszkadzają, żeby go nie peszyć. Gaduła polata i siada na morwie Michaliny, machnie skrzydłami na wyhamowanie, aż z gałęzi zwiewa cały śnieg. Nie mogę się na niego napatrzeć. Zresztą nie mam na to czasu, bo śpieszę nurkować z Flecikiem w śniegu i uciekać Cyganowi.

No więc czekamy dziś na znajomy szcęk drzwi od budy. Gdy tak nasłuchuję wtulony w hamaczek zrobiony z grubszego nieco koca, czuję szturchnięcie w bok. To Flecik. Kuca pode mną i uderza mnie noskiem w plecy.

– Tato, tato – terkocze jak targany silnym wiatrem wiatraczek na podwórku. – Tato, nie śpij, mam ważne pytanie.

Już się boję. Ważne pytania Flecika to często kłopot dla każdego z nas. Ale tym razem chyba błysnę wiedzą przed synem, bo pytanie jest wręcz banalne:

– Tato, tato, a skąd się bierze śnieg?

– Z chmur, synku – odpowiadam, nasłuchując odgłosów z podwórza.

– A chmury, tato, skąd?

– Chmury? – To mnie zaskoczył. – Chmury, jak to chmury, wiesz... z góry.

Na szczęście na gałęzi obok siedzi najmędrszy z nas, Gaduła Mruk. Małomówny co prawda, ale jak już coś powie, to powie.

– Chmury, Fleciku, to woda, która wyparowuje z oceanów i z mórz. Potem te kłęby pary wodnej wiatr gna ponad ziemią, aż przylatują do nas.

Flecik siada przed prętami klatki Gaduły i mówi do niego:

– To dlaczego z nieba leci śnieg? Przecież powinien deszcz.

To akurat wiem, więc włączam się do dyskusji:

– Zimą pada śnieg, bo jest zimno i kropelki wody zamarzają, ale latem spada na ziemię deszcz.

– Tato, tato, a kiedy w oceanie skończy się woda?

No właśnie: kiedy?

– Nigdy, Fleciku. – To znowu kruk. – Deszcz albo śnieg po roztopieniu się spływa do rzek, rzekami do mórz i oceanów i w ten sposób wody w oceanie nigdy nie braknie. Potem znowu paruje, powstają chmury i tak na okrągło.

– No to nieźle. Może nas zasypać na amen.

Flecik jest chyba trochę zmartwiony, bo milknie na chwilę. Ale niezbyt długą.

– Ocean. Oooceeeaaan. Oooceeeaaan!

Przeciąga tak wyraźnie, że zamykam oczy i widzę wysokie fale wpadające na plażę. Jak w albumie, który kiedyś oglądałem z Henrykiem.

– Ładnie brzmi. Zabierzesz mnie kiedyś nad ocean, tato?

No i masz. Co mam mu powiedzieć? Że być może nigdy nie wyjdzie poza ogrodzenie Ciepłka? Bo i po co? Gdzie mu tak śpieszno, do lepszego jutra? Na szczęście, zanim zdążę coś powiedzieć, Flecik zadaje następne pytanie:

– Tato, tato, a dlaczego się mówi „na amen”?

Zamykam oczy, biorę kilka głębokich oddechów i nagle słyszę narastający ryk dobiegający z podwórza. Wdziera się do budy przez okna i drzwi. Nawet Człapa tuli uszy po sobie. Co to? Jakiś potwór czy co?



Od strony drogi dobiegał narastający hałas. Michalina podeszła do okna i spojrzała na podwórko. Coś jakby ryk odrzutowca. Owszem, Henryk pojechał do miasta po zapas jedzenia i powinien już wracać, ale terenówka nie wydawała takiego odgłosu, nawet jak urwali kiedyś na korzeniach tłumik. To musiało być coś innego.

– Boże mój, co to?! – szepnęła Michalina.

Zobaczyła, że Czesław zawrócił od drzwi Budy A, dokąd szedł wypuścić zwierzaki na spacer. Stał na środku podwórza i zakrył sobie uszy. Plac był tylko częściowo odśnieżony, odkopane alejki prowadziły od werandy do bramy i drzwi bud. Reszta podwórka leżała pod grubą poduchą śniegu ułożoną dość równo, z usypanymi gdzieś zaspami odgarniętego puchu. Na szczęście przestało padać, ale teraz Michalina musiała mrużyć oczy, by spojrzeć na męża, bo ostre słońce odbijało się w świeżutkiej bieli.

Ryk się zbliżał. Czesław odruchowo zrobił kilka niezdarnych kroków do tyłu. Nie bacząc na chłód, Michalina wybiegła w samym swetrze do męża.

Po chwili przez bramę Ciepelka wpadł jakiś rozszalały jeździec. Siedział okrakiem na rozpędzonej czterokołowej bestii, która ryczała jak startujący jumbo jet. Uderzył w małą zaspę i wyskoczył w górę, po czym zarył w większej górze śniegu i się zatrzymał. Silnik zgasł, a wielki biały tuman wystrzelił w powietrze. Zrobiło się cicho. Po prostu cicho. Czesław odetchnął z ulgą. Kiedy opadła chmura białego pyłu, oczom Słowików ukazał się niesamowity jeździec. Stał i wielkimi rękawicami otrzepywał poły dziwnej czarnej sukienki, która wystawała mu spod skórzanej kurtki. Na głowie miał czarny kask, a wokół szyi owinięty długi biały szal. Jeździec zdjął kask i kominiarkę.

– Ale jazda! – rzucił pięknym, głębokim basem. Przeczesał dłonią sprężyste czarne kędziory i odkaszlnął w zwiniętą dłoń. – Nie wiedziałem, że macie tu taką ścieżynkę. Bosko! Aż mnie ręce bolą! Bałem się, że mi się Demon wyrwie. Demon to mój stalowy rumak, mój quad. Quadzik, siedemsetpięćdziesiątka.

Mężczyzna patrzył na pojazd z roziskrzonymi oczami. Dopiero gdy Czesław chrząknął, odwrócił się i dodał:

– Och, przepraszam! Zapomniałem się przedstawić. Ale tak lubię ten sport... Nazywam się Paweł Cicho.

Podał rękę Czesławowi, a potem Michalinie.

– Trochę głośno... Słowik. Czesław Słowik. A to moja żona Michalina – odparł Czesław, sugestywnie wiercąc palcem wskazującym w uchu, jakby wytrząsał z niego resztki hałasu.

– Cicho. Paweł Cicho – poprawił mężczyzna. – Ksiądz Paweł Cicho.

Odwinął szal i oczom Słowików ukazała się koloratka. Czesław spojrzał na żonę i dokończył:

– Trochę głośno przez ten sport, miałem na myśli...

Ksiądz najwyraźniej potraktował to jak pochwałę, bo powiedział:

– Prawda? Podrasowana bestia. Krótszy tłumik. Piękny śpiew i dodatkowa moc. Pole można orać.

Pogłaskał quada po siedzeniu. Michalina potarła ramiona dłońmi i chłodnym głosem rzuciła:

– To ja już pójdę do swoich obowiązków. – I odeszła w stronę domu.

Była tak przestraszona i rozdrażniona niespodziewanym hałasem, że nie mogła spokojnie rozmawiać z jego sprawcą. Obawiała się, że nie zapanuje nad sobą i powie gościowi, co o tym myśli. Już wyobrażała sobie zwierzaki skulone ze strachu w swoich klatkach i ptaki przepłoszone z lasu na kilka dni.

– Cóż pana, że tak powiem, przygnało w nasze skromne progi? – zapytał Czesław.

Najchętniej poszedłby razem z żoną, bo trudno było mu wzbudzić w sobie sympatię dla tak uciążliwego gościa. Jednak nie wypadało.

– Chciałbym oddać na przechowanie zwierzątko. Na okres zimy. Wie pan, wyjeżdżam za granicę na kilka miesięcy i nie mogę go zabrać ze sobą. Zresztą... auć! – Mężczyzna podskoczył nagle i wyprężył nogę, śmiejąc się przy tym głośno. Złapał się ręką za podbrzusze. – A ty dokąd, draniu? – dodał.

Czesław skrzywił usta w wyrazie zdumienia i odsunął się o krok od dziwnego gościa. Ksiądz podskakiwał teraz na jednej nodze, jakby chciał wytrząsnąć coś z nogawki. Jego śmiech grzmiał radośnie w kryształowo czystym powietrzu. Ten śmiech miał urzekający, to Czesław musiał w duchu przyznać.

– A cóż to za zwierzak? – zapytał.

Mężczyzna chwycił się dłońmi za udo i ścisnął, po czym jedną rękę włożył w spodnie od góry.

– Mam cię! – krzyknął i w triumfalnym geście wyszarpnął ramię z nogawki.

W dłoni trzymał energicznie się skręcającego węża.

– Wąż zbożowy. Ładna sztuka. Jak pan go przywiózł? – zapytał Czesław.

– W kieszeni. – Ksiądz się uśmiechnął. – O rany, miałem węża w kieszeni. A to dobre. A ile to będzie kosztować?

– Zależy, na jak długo. Ale może przejdźmy do budynku, bo bardzo się wychłodzi i jeszcze zaśnie na zimę.

– Myślę, że pół roku. To ile?

Czesław narysował laską na śniegu odpowiednią liczbę i spojrzał pytająco na mężczyznę.

– Trudno. Ale połowę płacę po powrocie, zgoda?

– Widzę, że ten wąż w kieszeni ma sens. Niech będzie. Chodźmy – zaprosił z uśmiechem Czesław i ruszył przodem, opierając laskę na udeptanym śniegu.

Przeszli do Budy A. Pod drzwiami gospodarz się odwrócił.

– Proszę go na razie włożyć za pazuchę, dobrze? Nowe zapachy mogą go niepokoić, a i zwierzęta w budzie nie znają węży.

Ksiądz wsunął rękę z wężem za poły kurtki i weszli do środka.



No i się doczekaliśmy. Czechu otwiera drzwi i wchodzi. Ale nie sam. Prowadzi jakiegoś pana. Tyle że ten pan jest trochę dziwny. Trzyma rękę pod kurtką, a spod niej wystaje mu sukienka. Czego ci ludzie nie wymyślą. Stajemy z Flecikiem przy drzwiczkach i szarpiemy pręty, jak zawsze, gdy Czechu przychodzi nas wypuszczać. Podchodzi do nas wtedy w pierwszej

kolejności i drapie za uszami. Mrużymy oczy, w odpowiedzi gryząc go delikatnie w palce. Ale dziś najwyraźniej musimy trochę poczekać. Czechu z gościem stają przed dużym, pustym terrarium, które sąsiaduje z mieszkaniem Cegły z jednej strony i klatką Człapy z drugiej.

– Tu będzie mieszkał – mówi Czechu. Przeciera rękawem szybę terrarium i odsuwa szklane drzwi. – Proszę. Mamy akumulator awaryjny, który wystarczy na kilkanaście godzin zasilania, podłączony dodatkowo do wiatraka prądotwórczego. A gdyby tego było mało, jest jeszcze spalinowy agregat. Codziennie dostarczamy świeże pożywienie dla wymagających tego lokatorów. Krótko mówiąc: ciepło, zdrowo, bezpiecznie. Może go pan wyjąć, panie Pawle.

Patrząc, a gość Czecha wyciąga zza kurtki rękę i trzyma w niej jakiegoś potwora. Błady, w kolorowe plamy na boku. Długi jak szlauch, którym Henryk podlewa grządki Michaliny.

– Piękny wąż. A jaki ma charakter? – pyta Czechu.

Piękny? Co może być pięknego w kawałku rury?

– No właśnie, tu jest mały kłopot – odpowiada mężczyzna.

Wkłada „pięknego” do terrarium. Czy to „coś” będzie z nami mieszkać?

– Lalek jest trochę dziwny. Węże zbożowe są raczej ruchliwe i lubią pojeść, są takie do ludzi. A on nie. Nie chce jeść, jest osowiały i apatyczny.

Gość się chyba pomylił. Jeśli on jest apetyczny, to ja jestem puma. Lalek, co za imię. Oj, będzie wesoło, niech no się Maniek wężykiem zajmie. Zerkam do klatki szczurów, żeby zobaczyć, czy Maniek ostrzy już język na nowego. I co widzę? Maniek przywarł plecami do prętów w najdalszym kącie klatki i szczęka siekaczami, aż siano się trzęsie. Boi się? A to heca!

– Zobaczmy. Zbadamy go, damy mu trochę spokoju i czasu. Co prawda to pierwszy wąż w naszej rodzinie, ale ciepło Ciepłka stopiło już

niejedno dzikie serce.

Czechu bierze Lalka do ręki i głaszcze go po głowie. Nie dam mu się już chyba dotknąć. Brr, rodzina. Jaka my z tym nowym rodzina? Czesław wkłada go do terrarium, gdzie świeci się już żarówka.

Czuję, jak Flecik szarpie mnie za ogon. Odwracam się, a on szeptem mówi:

– Tato, tato. Ja wiem, co to. Mama kiedyś mi opowiadała, że mieszkała w jednym domu z takim jednym. To znaczy z takim wężem.

– Wężem – poprawiam go także, nie wiedzieć czemu, szeptem.

– No, no. Wężem, tato, wężem, jasne, że wężem. No, to on, ten wąż...

– Wąż, Fleciku, skup się.

– Tak, tak, tato. No, więc on, ten... zwierz uciekał z domu kilka razy w tygodniu. A ile on jadł. Tato, on łowił i zjadał nawet... – Flecik rozgląda się dookoła, zerka przez moje ramię na terrarium Lalka, po czym drżącym głosem dodaje: – ...szczury!

Przełykam głośno ślinę i słyszę, jak klatka Mańka i Śpiocha zaczyna dygotać. Patrzą tam, a biedny Maniuś leży w kącie i trzyma łapkami pręty, jakby próbował je rozgiąć. Coś z tą jego głuchotą jest chyba nie tak.

Mężczyzna w sukience zagląda do środka terrarium, puka w szybę palcem i mówi:

– Żegnaj, Lalku. Będzie mi ciebie brakowało. Dobrze, to przejdźmy do finansów. – Prostuje się i odwraca w stronę Czecha.

Nasz opiekun rusza powoli w stronę drzwi, mówiąc:

– Chodźmy do domu, panie Pawle. Spiszemy umowę, żeby wszystko było, jak należy. Żona robi kawy, pan chwilę poczeka, a ja wypuszczę zwierzęta na spacer.

– Wolałbym załatwić to szybko. Wie pan, jeszcze tyle rzeczy mam do zrobienia przed wyjazdem. Może zapłacę tylko i już, co? – odpowiada gość.

Coś kręci. Od czasu afery z Lepszym Jutrem wyczuwam ludzi, którzy są nieszczerzy. Pachną inaczej. Jak ten facet.

– Jak pan sobie życzy. Proszę też dać mi książeczkę zdrowia i certyfikat.

Czechu się odwraca, bierze z rąk mężczyzny jakieś dokumenty i papierki, liczy je, po czym podaje mu rękę.

– W porządku. To jest nasza wizytówka z numerem telefonu i mailem.

Pan Paweł patrzy na Czecha pytającym wzrokiem, więc ten dodaje:

– Gdyby chciał się pan skontaktować. Zapytać o zdrowie Lalka na przykład.

– A tak, tak, oczywiście, zapytać. Zadzwoń. Na pewno zadzwonię. Dziękuję.

– Mam prośbę...

Czechu nie kończy, bo w drzwiach budy staje Henryk. Otrzepując się ze śniegu, mówi podniesionym głosem:

– Co za wariat przyjechał tym potworem?! To powinno być zabronione!

– Dopiero teraz dostrzega mężczyznę stojącego obok Czecha. – O, przepraszam. Nie wiedziałem, że pan... Ale wyskoczył mi pan na drodze zza pleców tak nagle, że wjechałem w krzaki. O mały włos rozbiłbym się o drzewo. Nie mówiąc o tym, że od hałasu śnieg obsypało z wszystkich drzew w promieniu kilometra. – Henryk jest wyraźnie zdenerwowany.

Gość już otwiera usta, by odpowiedzieć, ale Czechu macha ręką i przerywa:

– Dobrze, że jesteś, Heniu. Ja odprowadzę pana Pawła, a ty wypuść zwierzaki, dobrze? I zapoznaj się z nowym lokatorem. To Lalek.

Wychodzą. Henryk zagląda do terrarium nowego. Co w nim takiego ciekawego? Szarpiemy z Flecikiem za drzwiczki i rzucamy karmą w Henryka, bo już nie możemy się doczekać spaceru. Gdy wreszcie po kolei otwierają się kojce i klatki, wybiegamy z radością. Wraca Czechu i przekrzykując ryk ponownie dobiegający z za drzwi i okien, mówi do Henryka:

– Zdaje się, że to kolejny mieszkaniec na stałe. „Żegnaj, Lalek”. Nie mówi się „żegnaj”, tylko „do zobaczenia”...

Reszty już nie słyszę, bo rozpędzam się i wbijam w zaspę świeżutkiego puszku. Jest tak głęboka, że z ledwością wyskakuję ponad nią w kolejnych susach. Goni mnie Fantazja, za nią skacze, okręcając się dookoła, Flecik, a po chwili od strony drugiej budy słyszę szczekanie Cygana. Czarna plama zbliża się z wielką szybkością. Słyszę głośne kłapnięcia jego szczęk tuż obok mnie. Słońce pięknie lśni na jego futrze, jeszcze piękniej na opadających wolno kępkach puchu. Jest zimno.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej